

Brygida Helbig

Docent prywatna

Wykształcony leń

Czy inni też gonią w piątkę cały dzień, kręcą się w kółko i pożerają własny ogon? A ileż to poradników się naczytało, ile nałykało mądrości. A to o tym, jak być podążającą za głosem powołania królową swego losu, a to o tym, że gdy się kocha siebie, można być szczęśliwą w sumie zawsze. Ileż to się nie naczytało, jak zgodnie z nauką buddyzmu jednym pociągnięciem sztyletu pokonać demona nikotyny. Ileż o zdrowej chińskiej kuchni na ciepło i gorąco z dodatkiem imbiru, kardamonu i bez trujących toksyn. O tym, jak szczęśliwa jest ze swym mężem i dzieckiem Manuela Gretkowska wykonująca co dzień kilka ruchów tai-chi i kochająca się z indyjskim oceanem. Albo o tym, jak to pięknie i zdrowo wstać o piątej rano i zacząć dzień od pieśni dziękczynnej. A zakończyć go wklepaniem kremu odżywczego na noc i apostrofą do naszego wyższego „ja”. A ja tu zamiast wstać przed dzieckiem, to jeszcze dziecko mnie musi wyciągać z pościeli, zadręczając od rana pytaniem, co to właściwie jest elipsa, a co paradoks, bo pan od niemieckiego będzie pytał, i żebym od razu podała przykłady, a nie tak tylko abstrakcyjnie. Jakbym nie dosyć tego miała w pracy.

W pracy? Przecież jestem bezrobotna. Co ty właściwie robisz cały dzień? Tym pytaniem prześladowuje mnie od jakiegoś czasu cały świat. Kochane wujostwo i dziadostwo, ogłaszam to wszem i wobec, ja nie jestem bez pracy, ja tylko jestem bez pensji za pracę, a to jest zasadnicza różnica. Robotna, ale bezza-

Brygida Helbig

robkowa. Nazywa się docent prywatny i jest wynalazkiem uniwersytetów niemieckich.

Prostuję. Całymi dniami prostuję pomówienia o nieróbstwo, plecy swoje prostuję, i się usprawiedliwiam, co robię cały dzień. To też jest ciężka praca. Co jeszcze robię: piszę i redaguje, czytam, tłumaczę i egzaminuję, a wszystko to za friko. Poza tym myślę i rozważam, czy szczepić dziecko przeciw nowotworowi macicy, bo zdania są podzielone, a konsekwencje nieznane. Jadę z mamą do lekarza, oglądam z córką *Desperate Housewives*. Dzwonię po fachowców od ogrzewania, bo grzejnik mi w dużym pokoju grzeje tylko wtedy, gdy wtóruje mu ten w małym. Przyjeżdżają panowie, *guten Tag*, pani Stopa-Müller, gdzie uciska but, odjeżdżają szczęśliwi, ja sobie włączam *Heizung*, i faktycznie już nie ma tej zależności jednych ciał grzejących od drugich, ale za to grzeje zawsze całą parą, żar bucha, a ja bułę. Niech to szlag. Strasznie śmieszno to Niemców, gdy tak mówię, szlag trafi, a mówię tak nieustannie, waląc w zacinający się komputer, ocierając się bokiem swego daewoo o pobliskiego mercedesa i zostawiając na tym drugim żółte pręgi. Potem odpukuję, niech ich nie trafia, tych fachowców. Niech mnie trafi. Zanim trafię na kolejny mandat w skrzynce, kolejną odmowę przyjęcia mnie do pracy z powodu nadkwalifikacji albo na kolejną zatroskaną duszę, która mnie zapyta, czy się czasem nie nudzę.

Nowa Polska

Nie lubię słowa „kolejny”. Kiedyś się tak w Polsce nie mówiło. Nie mówiło się też „dokładnie”, „milego dnia” i „wszystko pod kontrolą” – najwyżej: „pocałuj mnie w dupę”.

Niemiecki uniwersytet

Na pewno nie przypuszczają Państwo, kto mnie finansuje. Kto finansuje upadające, oszczędzające na wszystkich frontach uniwersytety niemieckie. Kto urzymuje całą gwardię nas, docentów prywatnych, czyli wysoko wykwalifikowanych nauczycieli akademickich z habilitacją, dla których zabrakło miejsca w budżetach niemieckich fabryk wiedzy. Docent prywatny ma status profesora i kilka profesorskich zobowiązań. Należy do nich nieodpłatne prowadzenie zajęć ze studentami co jakiś czas i kontrola studenckich prac. Oprócz tego docent prywatny opiekuje się magistrantami lub doktorantami, jeździ na konferencje i pracuje naukowo. W ten sposób podtrzymuje swoje kwalifika-

cje, dające mu (złudną najczęściej) nadzieję na zatrudnienie akademickie w przyszłości i wrażenie, że nie jest pasożytem, nie ma luk w życiorysie, powodów do niepokoju i podstaw, żeby zapisywać się do Klubu Nieudaczników. Instytucja docenta prywatnego jest więc nowoczesną formą niewolnictwa. Docent prywatny nie może i nie powinien szemrać, gdyż w zamian za swe usługi ma prawo mianować się nie pracownikiem co prawda, ale *członkiem* uniwersytetu, a jest to zaszczyt nie lada i odszkodowanie za doznawane poniżenia. Ma również prawo korzystać z jakiegoś kąta na uniwersytecie, dopóki ktoś go stamtąd nie przegoni.

Jeśli docent prywatny jest kobietą, nikt specjalnie nie zastanawia się nad kwestią, z czego docent żyje. Wychodzi się bowiem z założenia, że kobieta zawsze wyżywi się u czyjegoboku i dobrze, jeśli instytucja docenta umożliwia jej samorealizację. Bez takiego bowiem wentyla kobiety około 40-tki dostają silnego fioła i wchodzą w podejrzaną ezoterykę. Powinny więc w zasadzie być wdzięczne, że daje im się możliwość dalszego rozwoju intelektualnego i udostępnia pomieszczenia w tym celu. Bycie docentką prywatną to w sumie prywatne hobby kobiety naukowca. Jeśli kobieta zmuszona jest bowiem nauką zarabiać na życie, znaczy, że zawiodła, gdyż nie znalazła faceta, który by jej rozwój sponsorował. Inaczej w przypadku mężczyzn. Docenta mężczyzn albo szybciej winduje się na stanowisko, gdyż musi wyżywić rodzinę, albo przekreśla całkiem jako nieroba i ciula. W sumie jednak zarówno docentka bez męża, jak i docent niezguła w końcu znajdują wyjście w postaci słynnego zasiłku Hartz IV. A uniwersytet zaciera ręce. Swych naukowców nie musi opłacać sam, robi to za niego Jobcenter, Urząd Zatrudnienia, czyli opłacają nas Państwo sami, własnymi podatkami, za co serdecznie Wam dziękuję.

Cwani ludzie

Berlin zbankrutował i na gwałt pozbywa się mieszkań, aby spłacić horrendalne długi. A ofiarami tej wielkiej akcji są, proszę Państwa, głównie kobiety, zwłaszcza z tzw. kontekstem migracyjnym. Zyskuje zaś na tym jak zwykle przemysł farmaceutyczny. Na liniach telefonicznych Berlina pojawiło się ostatnio mnóstwo osobników zaskakujących nas pytaniem, na które nawet osoba wracająca właśnie z treningu asertywności nie może odpowiedzieć „nie”. Czy nie uważają Państwo, że fiskus strasznie nas ograbia? Chyba nie chcecie wrzucać mu do gardła połowy swojej pensji po to, żeby finansował

Brygida Helbig

ciężkie limuzyny polityków i kaprysy docentów prywatnych? Odpowiadając: „prawda, nie chcemy!” – wpadamy jednak w pułapkę bez wyjścia, ponieważ osobnicy koniecznie będą chcieli nam pomóc, czyli naciągnąć nas na kupno mieszkania własnościowego, nawet jeśli nie mamy żadnych na to funduszy, gdyż w ten sposób zaoszczędzimy całą masę pieniędzy, jest to jedynie słuszny termin podjęcia takiej decyzji, ponieważ ceny eksplodują z dnia na dzień, są to już ostatnie oferty, *Top-Lage und kein Eigenkapital*. Najbardziej podatne na tego typu argumentację są kobiety, zwłaszcza pochodzenia słowiańskiego. Niedawno jeden z takich panów zadzwonił do Jagody, a ona – zahinpotyzo- wana jego uprzejmością – potakiwała mu przez cały czas trwania rozmowy, przestępując jednocześnie z nogi na nogę, kręcąc z przerażeniem głową i przygotowując się mentalnie na energiczny rzut słuchawką. Jednak ręka odmówiła jej posłuszeństwa i kobieta umówiła się z maklerem na jutro na godzinę osiemnastą. Po czym cały następny dzień po pracy włożyła się po mieście z ciężkim bólem głowy, żeby uniknąć konfrontacji z nieproszonym gościem. Wiedziała bowiem, że jeśli będzie w domu, nic nie powstrzyma jej przed podpisaniem umowy o kupno chociażby jakiejś rudery w dzielnicy Marzahn, której się potem nigdy nie pozbędzie. Za co Rainer na pewno ją zabije.

Specjalnością wielu z nas jest spędzanie mnóstwa czasu na mozolnym wycofywaniu się z podjętych pod presją zobowiązań, wysyłaniu wypowiedzeń z fitness klubów, odsyłaniu niechcianych paczek, przesyłek i abonamentów, wykradaniu się z podpisanych umów czy pośpiesznie zawartych małżeństw. Zresztą nasza kultura praktycznie nie przewiduje odmawiania wprost, zwłaszcza gdy jest się kobietą. Najpierw więc się podejmujemy, a później kluczymy, kłamiemy, chorujemy i kombinujemy. Gdy nas w końcu dopadną, odważniejsze z nas odpowiadają z tupetem, że podobne sprawy załatwia mąż. To jedyny argument nie do zbiccia. Mniej obcesowe zmieniają numer telefonu czy adres zamieszkania, nabawiają się wrzodów żołądka lub manii prześladowczej. A wszystko to po to, żeby nikogo nie zranić.

Berlińskie Wigilie

Boże Narodzenie to, jak wiadomo, święto rodzinne. Ale rodzina się zmienia, zwłaszcza w Berlinie, mieście wolności, różnorodności, dla niektórych – roz- wiąźności nawet. Wielu ojców Niemców świętuje Wigilię podwójnie, najpierw u swej byłej towarzyszkii etapu życia, ze swymi dziećmi, ojcem jej następnych

dzieci i aktualnym partnerem oraz dziadkiem odebrany na chwilę z domu starców (to nowy model matriarchatu berlińskiego, kobieta matka i kilku mężczyzn spełniających różne funkcje). Potem późnym wieczorem opustoszałymi s-bahnami ojciec Niemiec, na przykład Rainer Kolenda, zasuwa do swej aktualnej towarzyszkii etapu życia – żeby jeszcze raz odfajkować Wigilię z nią, jej dziećmi i ewentualnie byłym mężem – czasami bywa nią Polka. W tym wypadku ojciec Niemiec wtrzącha najpierw parówki wiedeńskie z sałatką ziemniaczaną albo nawet zwykłe spaghetti, bo dzieciom to smakuje najlepiej, więc po co będziemy się wygłupiać, potem, w drugim rzucie, jeszcze opłatek, barszcz z uszkami, plus jedenaście dalszych potraw. Berlińczycy są pragmatyczni, dla dzieci i rodziny wszystko, pozbywają się nawet swych naturalnych skłonności do zazdrości i wstrętu wobec buraków, przeskakują po prostu samych siebie.

Niektóre berlińskie Wigilie są jeszcze bardziej niekonwencjonalne. Wkrótce zostaną symboliczną chrzestną dziecka pary lesbijskiej. Dziewczyny wzięły na Kreuzbergu ślub, wyprawiły wesele dla rodziny, przyjaciół i wygłodniałych docentów prywatnych, a po kilku miesiącach poprosiły znajomego geja o obiecującej aparycji, żeby w drugim pokoju pomyślał o czymś przyjemnym. Efekt był natychmiastowy, małżonki oczekują dziecka. Jedna będzie matką, bo urodzi, druga, bo zaadoptuje. W każdym razie już wybierają się na gimnastykę ciążową, szukają położnej, pokazują znajomym zdjęcia USG w knajpkach przy Bergmannstraße. Za rok przy wigilijnym stole zasiądą dwie mamy, być może biologiczny ojciec z przyjacielem i kilka par dziadków prawdziwych i przyszywanych. Może i ja tam pójdę, będę miód i wino piła, czyli jadła być może to spaghetti, popłakując po łąkach za uszkami z suszonymi rzecz jasna grzybami.

Afrykańskie filmy

Udało się, pokonaliśmy święta i imprezy sylwestrowe, wyrzuciliśmy choinki, wreszcie możemy wrócić do rozkosznej codzienności. Skończyło się ustalanie harmonogramu świątecznych odwiedzin, tak żeby nikogo nie urazić, wyszukiwanie czystego obrusa, goszczenie szwagrów i zmaganie się z zazdrością własną lub ich o cokolwiek, dom, samochód, tytuł naukowy, urodę, styl życia, kolor włosów, studia dzieci, miłość dziadków i tak dalej. Koniec podejmowania decyzji sylwestrowych, jakiej posłuchać muzyki – dobrej na wszystko Abby, zabójczego Gogola Bordello, elektryzującej Niny Hagen, gorącej *Macareny*,

Brygida Helbig

nostalgicznego *Jak się masz, kochanie* czy niemieckich szlagierów typu bracia Amigos, przy których serce pęka.

Za sobą mamy już zwrot nieudanych prezentów, teraz pozostał nam tylko decydujący zwrot w życiu, czyli realizacja noworocznych postanowień. Zwyczaj nasze postanowienia nie należą do oryginalnych. Na pewno i przede wszystkim schudniemy, będziemy odżywiać się ekologicznie, zapiszemy się na taniec brzucha albo na medytację. Rzucenie palenia nie będzie żadną trudnością, i tak jesteśmy obecnie na pozycji przegranej, bo palacz zalicza się dzisiaj, w przeciwieństwie do modnego pijaka, do asocjalnych kręgów. Mniej czasu będziemy spędzać na „Naszej klasie”, więcej na świeżym powietrzu. Zaprosimy starych przyjaciół na raclette. Nauczmy się języka obcego, odwiedzimy miejsca, skąd po wojnie wypędzono naszych rodziców. Napiszemy jakąś książkę albo song, bo życie w stolicy zobowiązuje, nauczmy się lepiej gospodarować czasem, prądem i pieniędzmi. W razie kłótni i prowokacji będziemy natychmiast opuszczać pomieszczenie, a przede wszystkim kłócić się ciszej, żeby nie wzmacniać uprzedzeń narodowych naszych ciekawskich sąsiadów, z sąsiadami zresztą spróbujemy zamieniać na klatce schodowej chociaż parę słów. Wrócimy do gry na fortepianie i prowadzenia dziennika, zrobimy porządek ze zdjęciami, będziemy stawiać budzik przy telefonie, żeby nie głądzić z ludźmi godzinami i zaczniemy po prostu wcześniej wstawać. Poza tym bronić swego miejsca w kolejce, głośno prosić o otwarcie drugiej kasy i słuchać swego serca zamiast spełniać oczekiwania innych i kumulować w sobie złość. Powstrzymamy się przed codziennym wysyłaniem dorosłym dzieciom SMS-ów, gdy o 24.00 w nocy wyruszają na berlińskie podboje.

Najbardziej niekonwencjonalny był mój znajomy Dieter, który napisał na swojej liście, że będzie pił mniej niemieckiego piwa, oglądał więcej afrykańskich filmów i kochał bardziej prywatnych docentów.

Niemiecki humor

Kończy się niemiecka piąta pora roku, hucznie obchodzona nie tylko nad Renem, ale i w niektórych wsiach Brandenburgii, np. w Hohenbocka. Naoglądaliśmy się posiedzeń karnawałowych na wszystkich kanałach telewizyjnych – po każdym żarcie akcent muzyczny, żebyśmy wiedzieli, kiedy zacząć się śmiać. *Dienst ist Dienst und Schnaps ist Schnaps*, Niemcy lubią wiedzieć, kiedy pora na śmiech. Po opowiedzeniu dowcipu w razie czego najlepiej dodać:

Es war ein Witz, dopiero wtedy wybuchną gromkie salwy. A kiedy Niemcy się trochę pośmieją, tłumaczą to sobie pokornie, z wyrzutami sumienia: *Ein bisschen Spaß muss sein*. Polska przesada.

Enerdowskie obsesje

Nie tylko obcokrajowcom południowcom jest w Niemczech czasem źle. Zresztą za południowców, zwłaszcza Turków, cierpię i ja, bo mam wygląd egzotyczny, więc zanim otworzę buzię, już mi się zarzuca, że jestem pasożytem i na pewno nie mówię po niemiecku, co zresztą dla docentów prywatnych typowe. Obcokrajowcami we własnym kraju są jednak także byli enerdowcy. To oni czują się wchłonięci przez inny kraj, to oni mają wrażenie, że zignorowano ich specyfikę kulturową, żądając pełnej asymilacji, że nie istnieją naprawdę. Wielu z nich, niekoniecznie politycznie zaangażowanych, utraciło po przełomie miejsca pracy. Poobniżano im oceny maturalne, nie uznano wyższych studiów, przekreślono przeszłość i dokonania. Niemal w ciągu jednej nocy odebrano własny kraj. Radzą z tym sobie dzisiaj na bardzo różne sposoby. W każdym razie ich kompleksy narodzone z wieloletniego poczucia niższości wobec Zachodu są jeszcze silniejsze niż nasze, niekompensowane żadnym poważnym mitem narodowym. Sekretariaty różnorakich placówek pełne są zdegradowanych intelektualistów wschodnich z tytułami, upokarzanych na każdym kroku i gromadzących w sobie złość i złość. Szukających kozłów ofiarnych, na których mogliby ją wyładować. Niektórzy z nich mieli wielkie ambicje i wielki potencjał, które teraz, zamiast w protest, inwestują w intrygi i urlopy na Malediwach. Uwe marzył o karierze adwokata, *die Wende* jednak (odmiana, czyli przełom) pozbawiła go możliwości pracy w tej dziedzinie. Od 17 lat jest bezrobotny, a swoją miłość do prawa realizuje w niezliczonych procesach sądowych, w które sam się pakuje. Przesiaduje również w sądzie za matkę, przyjaciółkę i brata, a w razie potrzeby procesuje się także i z nimi. Volker gromadzi w swym mieszkaniu stare radia i enerdowskie urządzenia gospodarstwa domowego, miksery, tostery, ekspresy do kawy, gramofony. Nie ma już nawet miejsca, żeby gdzieś rozłożyć wieczorem materac, żona musiała się wyprowadzić. Jego ojciec był słynnym enerdowskim piosenkarzem. Volker z dyskdzokeja zrobił się dziwakiem, pasja stała się obsesją. Ileż straconej, niewykorzystanej energii, ileż geniuszu rozpaczliwie poszukującego ujęcia. Ileż podświadomego protestu przeciwko społeczeństwu, w którym

Brygida Helbig

wszystko, co robimy, nastawione być musi na profit. Co prawda nikt na nich na ulicy nie nakrzyczy, nikt im domu nie podpali, najwyżej ich się z wyremontowanego domu wyrzuci, ale serca mają zranione. I ja ich nawet rozumiem.

Przyszli biznesmeni

Nie ma to jak finansowane przez Urząd Zatrudnienia kursy jak zostać biznesmenem. Jest to prawdziwe i nieodpłatne studium ludzkich losów, marzeń i nadziei. Obok mnie bezrobotny magister germanista, który w najbliższym czasie przeobrazi się w masażystę shiatsu i homeopatę dla psów. Z drugiej strony architekt, który nie czuje się powołany do architektury i będzie prowadził warsztaty strzelania z łuku. Za nim niemłoda harfistka o zamglonych oczach i światowej sławie, oburzająca się na naszego nauczyciela, bo wspomniał o możliwości grania w u-bahnie, a ona jest po moskiewskim konserwatorium. Troszkę dalej tancerka, której lekarze na skutek błędu w sztuce amputowali nogę. Pyta siedzącą obok drobną Polkę na szpileczkach cienkich jak igły, jak można być tak ubraną, będąc na zasiłku Hartz IV... Polka się zali, że ubranie ubranie, ale brak jej pewności siebie, w piekarni dostaje najgorsze buleczki, a jej niemiecki partner wysyła ją z nimi z powrotem, dokucza jej z powodu polskich cech, ciągle każe się odchudzać i kontroluje ciężar jej ciała. Młody, energiczny chłopak chce założyć firmę malarsko-stolarską, ale będzie miał kłopoty z Izbą Rzemieślniczą, bo nie jest majstrem, a niemieccy rzemieślnicy bronią swej wielowiekowej tradycji. Nie wolno mu więc robić reklamy. „Jak to – pyta – to nie mogę rozdawać wizytówek i prospektów? To nie mogę namalować sobie na aucie numeru telefonu?” „Namaluj go pan sobie na czole”, radzi mu architekt. Młody Rosjanin ze złotym sygnetem i łańcuchem na szyi chwali się chmurnie: „Ja mam pieniądze od rodziny”. „Ja – mówi – będę miał restaurację czterogwiazdkową, będę miał najlepszy kawior, będę sprzedawał rosyjską duszę”. „Trzeba – mówi – po prostu wierzyć w siebie, wtedy – przekonuje – można przekroczyć góry”. Przekraczamy głowy w jego kierunku i uśmiechamy się życzliwie-pobłaźliwie. Robimy test na osobowość biznesmena i okazuje się, że kilkoro z nas kieruje się motywami prowadzącymi do zguby w interesie – chce zrobić coś pożytecznego dla społeczeństwa. Śmiejemy się, jest nam dobrze, moglibyśmy się tak uczyć bez końca, zrównani, pojednani, kierownik obok kierowcy, malarz ścienny obok fotografki fregat. Ale docent, rzecz jasna prywatny, wyrzuca nas w końcu na bruk, śnieg, zawieję, zawie-

ruchę, akty przemocy w autobusach, przerwane na chwilę strajkiem BVG. „Grażynka! – wołam. – Poczekaj! Nigdzie na tych szpilkach nie pójdziesz. I włosy sobie musisz odtlenić!”.

Tajemnicze akta

Polacy na spotkaniach klasowych organizowanych dzięki popularności portalu „Nasza klasa” szczerą się przede wszystkim takimi osiągnięciami, jak mnogość miejsc zamieszkania typu „Berlin – Amsterdam – Bielsko-Biała”, dorodne dzieci, dom, samochód i pies. Niemcy ze Wschodu szpanują ilością odbytych podróży oraz działalnością opozycyjną. Tworzą legendy działaczy ruchu oporu, rozwodzą się nad tym, co znaleźli na swój temat w aktach Stasi, enerdowskiej Służby Bezpieczeństwa. Niedawno Rainer udał się na spotkanie z kolegami ze studiów w Berlinie Wschodnim w latach osiemdziesiątych. Zgadali się, że poginęły ich akta z tamtych lat. Wszyscy o nie zawnioskowali, akta jednak wcięło z niezrozumiałych powodów.

Prawdopodobnie chodzi o tzw. akta Rosenholza, krótko po przełomie wywiezione przez Amerykanów do USA. Wróciły co prawda do Niemiec, ale są w nich, zdaje się, jakieś luki. To akta z pewnego bardzo szczególnego oddziału centrali. Rainer nie bardzo rozumiał z jakiego, niezwykle się ożywił i postanowił o nie zawalczyć. Nie mógł co prawda przypomnieć sobie, żeby kopał tunel, szykował chiński jedwab i zapasy gazu na balon, czy też zakładał grupę oporu, ale z dużą satysfakcją wygrzebał z pamięci fakt, że złapano go przy fotografowaniu budynku Służby Bezpieczeństwa, który, jak zeznał na przesłuchaniu, interesował go ze względów architektonicznych, co zresztą było zgodne z prawdą. Zaczął więc marzyć o odzyskaniu akt i zaimponowaniu nimi koleżankom, kolegom i Jagodzie. Zagadnął o nie jednego z byłych pracowników Stasi, dawnego szkolnego kolegę. „Nie martw się, stary – uspokoił go kolega. – Nawet jeśli te akta kiedyś się odnajdą, nic takiego tam strasznego na twój temat nie będzie. Najwyżej, że brali cię pod uwagę jako potencjalnego współpracownika. Bo to akta z oddziału zajmującego się faktycznymi lub potencjalnymi agentami. A wiesz, jak było, stary”.

Tak upadają wielkie męskie legendy. Myślisz, że mógłbyś zabłysnąć jako opozycjonista i ofiara systemu, podczas gdy Stasi niemalże zaliczało cię do swoich szeregów. Rainer cierpi więc na bolesny, zwłaszcza dla jego bliskich, syndrom pod tytułem: „dlaczego nie zostałem bohaterem”. I tak ma chłopak

Brygida Helbig

szczęście, że nie mieszka w Polsce, młode chłopaczki już by go pewnie zlustrowały do szpiku kości i na amen.

Kulturowe rozbieżności

Ostatnio byłam na kolacji z polskim i niemieckim dżentelmenem jednocześnie. Wspaniała okazja do obserwacji różnic między kulturami. Polak zamówił mi czerwone wino, nie pytając, czy mam na nie ochotę. Wyszedł z założenia, że mam. Niemcowi jednak ten sam Polak, nauczony widocznie bolesnym doświadczeniem, nie podstawił wina pod nos, lecz najpierw uprzejmie zapytał: „Hansie-Jürgenie, czy może się czegoś napijesz?”. „Tak, bardzo proszę butelkę wody mineralnej”, odpowiedział Niemiec. Tak łatwo mu jednak z Wojciechem nie poszło. „Dobrze – Polak na to – ale powiedz, czego się *napijesz?*”. „Dziękuję, napiję się wody.” I tak konwersowali ze sobą około pięciu minut, Wojtek, na stojąco, nerwowo wyczekujący jakiejś konkretnej wypowiedzi, i Hans-Jürgen, bez emocji, na siedząco, choć już lekko zaniepokojony, dlaczego kolega wody mu żałuje. *Zebraliśmy się, aby przy kieliszku do siebie się zbliżyć*, myślał Wojtek. *Zebraliśmy się, zakładał Hans-Jürgen, aby w punktach przygotować zbliżającą się rozmowę z naszym partnerem wydawniczym.* Wojtek więc nastawił się na żarty, a Hans-Jürgen na robienie notatek, Wojtek chciał trochę się sobą pochwalić, posnuć jakieś plany, wizje, pomarzyć, jaką to wspaniałą książkę razem wydamy, podczas gdy Hans-Jürgen zamierzał ustalić stan naszych przygotowań i przebieg jutrzejszych negocjacji. Ciągle więc sobie nawzajem przerywali – co Wojtek zaczął: „I wiesz, kurde, my im pokażemy, tym warszawskim wielkim pseudonaukowcom zadzierającym nosa do góry”, to Hans-Jürgen wchodził mu w słowo: „Dobrze, więc nasza publikacja będzie zawierać 10 artykułów z zakresu trzech różnych dyscyplin”. Na stole leżała nowiutka, pachnąca jeszcze drukiem książka, którą przyniosłam ze sobą. Wojtek w ferworze fantazjowania o naszej barwnej przyszłości zapamiętała ją gniótl. W tym samym czasie Hans-Jürgen, tak żeby ani Wojtka nie urazić, ani książki nie dać zniszczyć, bardzo dyskretnie ją od niego odsuwał. Po spotkaniu Wojtek wcale się do mnie nie odezwał, zaś Hans-Jürgen przysłał mi maila następującej treści: „Wczoraj między godziną 19.13 a 21.19 odbyło się pierwsze spotkanie naszej grupy roboczej. Dokonałiśmy następujących ustaleń...”. Sama już nie wiem, kogo wolę. Gdyby tak coś, kurтка, pośredniego.

Wygodny hotel

Poza nami już karnawał kultur – święto różnorodności naszego miasta. A ja karnawał kultur miałam w domu. Mój ojciec zdawał mieszkanie na Kreuzbergu i szukał najemców, którzy przejęliby po nim remont i wykładziny. Obiecałam, że pomogę mu wybadać potencjalnych kandydatów, nie na darmo jestem w końcu detektywem prywatnym, nie na darmo jestem córką Polką. Zjawiłam się co prawda na długo przed terminem, lecz ku mojemu zdziwieniu zastałam ojca zatopionego w rozmowę z sympatycznym Indonezyjczykiem, który właśnie opowiadał mu historię swego życia. Ojciec nieostrożnie zaproponował mu herbatę i facet rozsiadł się na całego, nie przeszkadzała mu przesuwająca się przed jego oczami galeria kontrkandydatów ze wszystkich krajów świata. Wręcz przeciwnie, włączał ich do naszej wspólnoty. A jak Państwo sądzą, co jest wspólnym punktem odniesienia wszystkich obcokrajowców w Berlinie? Oczywiście niechęć do gospodarzy. Ledwo tylko Indonezyjczyk zasmakował naszej gościnności, już włączyła mu się ta swojska płyta stwarzająca między nami płaszczyznę porozumienia: Niemiec to by nigdy herbaty nie podał, jeszcze w dodatku obcemu człowiekowi, nie jest przecież głupi, nie będzie sobie robił kosztów, nie wpuściłby nawet do mieszkania, tylko obstawałby przy tym, że muszą najpierw ustalić termin. Termin to ulubione słowo Niemców, *nicht wahr?* Niemcy są naprawdę *Scheiße*, muszą tutaj żyć, ale odżywam dopiero w rodzinnym kraju, tam jest luz, tam panuje ciepło międzyludzkie, a tutaj tylko szybko-szybko, stres, załatw sprawę i spadaj.

Mój najpierw rozbawiony, a potem coraz bardziej zdezorientowany ojciec życzliwie wysłuchiwał utyskiwań o niemieckim charakterze narodowym – on, którego językiem ojczystym jest niemiecki, a językiem najlepiej opanowanym polski, którego koleje losu przypisały do Niemców i Polaków jednocześnie. Gdy przyglądałam się wtopionemu w fotel Indonezyjczykowi i mojemu kręcącemu się na stołku, wciąż przesiadającemu się ojcu, przypomniał mi się aforyzm Henryka Bereski: „Jakże często, gdy siedziałem między dwoma krzesłami, proponowano mi wygodny fotel. Zawsze odmawiałem”.

Zachodnioniemieckie nagusy

Piękną mamy pogodę, więc wybrałam się na wycieczkę rowerową do lasu Grunewald i natknęłam na rozległą łąkę nad małym jeziorkiem w szuwarach. Jezioro nazywa się Teufelssee i jest oazą poodwracanych kryteriów, wszystko

Brygida Helbig

tam się odbywa nie bardzo po Bożemu. Łąka roła się od podtatusiałych golasów z długimi siwymi włosami, o lśniącej brązowej skórze pozbawionej białych pasm. Niektórzy medytowali, siedząc po turecku na trawie, inni pozdrawiali się nawzajem, ustawiając się przed siedzącymi na kocach znajomymi i nieznanymi tak, żeby najpiękniejsza część ich ciała znajdowała się na wysokości oczu nagabywanych.

Jakże różnie można odbierać ten rodzaj paradyżu. Sporo moich niemieckich znajomych wyraża swój nieklamany zachwyt dla atmosfery panującej na tej nieoficjalnej plaży nudystów w głębi Berlina Zachodniego. Twierdzą, że to takie naturalne. Kto tego nie lubi, naraża się na zarzut pruderii i zacofania. Ja natomiast, urodzona w Polsce, w dodatku docent prywatny, widzę w tym, jeśli nie ekshibicjonizm, to rodzaj performance, show, popis, który jakoś nie do końca mnie kręci. Nie mam przyjemności oglądać wszystkich części ciała ludzi obcych, być nimi osaczona, udawać, że nie budzą we mnie uczuć mieszanych. Wiem, że tamtejsze chude i grube, stare i młode golasy to osoby z kręgów dobrze sytuowanego mieszczaństwa trzymającego się na co dzień bardzo sztywnych norm. Cieszą się, że mogą na chwilę, w sobotę, znaleźć się w światku, w którym reguły obowiązujące na co dzień zostały zniesione. Mogą odreagować. Tak naprawdę jednak tzw. naturalność w kulturze jest niemożliwa. Przekraczając granice, ci ludzie nie powracają do jakiegoś niewinnego stanu natury. Po prostu, zazwyczaj skrępowani ciasnym gorsetem zasad i noszeniem sztywnych masek, doznają ulgi, a pewnie i jakiegoś dreszczyku w miejscu przekroczenia. Tutaj bezpiecznie można eksperymentować z granicami tabu, a nawet konkurować ze sobą, kto przekracza je swobodniej, obnosi się z nagością „naturalniej”, kto jest najbardziej wyzwolony. To czyni *Treffpunkt Teufelssee* zapewne miejscem wyjątkowym, choć w tej samej mierze sztucznym, co inne zjawiska w kulturze. Wołałabym, żeby ci ludzie rozluźnili się raczej na co dzień.

Młody mężczyzna

Wake me up, when september ends, śpiewa amerykańska grupa Green Day. Wrzesień, koniec lata, miesiąc smutku i melancholii. Ja tym razem nie mam okazji sama popaść w depresję, gdyż zostałam pocieszycielką bliźnich w opresji. Jestem punktem pomocy socjalnej dla wyzyskiwanych polskich robotników półlegalnie zatrudnionych w jakiejś berlińskiej firmie, prowadzonej przez innych

obcokrajowców, i zakwaterowanych w mojej kamienicy. Przyjechali do roboty, żeby w krótkim czasie zapewnić córce studia albo „kupić sobie, kurwa, samochód”. Naobiecowano im jak zwykle cudów, a tymczasem firma nie wypłaca im zarobków. Więc przychodzą skarżyć się do mnie, aniola prywatnego, sami nie bardzo mogą protestować, nie mówiąc ani słowa po niemiecku. Przychodzą, gdy wysiadzie im komórka albo gdy nie rozumieją wydobywającego się z niej szwargotu. Przychodzą, gdy szantażują ich kumple, zamiast solidaryzować się ze sobą nawzajem. Jeden młody chłopak z Kieleckiego, dziesięcioro rodzeństwa, matka i ojciec go nie kochają, żali mi się co wieczór, że starsi koledzy nic mu nie chcą pomóc ani wytłumaczyć, dopóki nie postawi im flaszki. Takie są, wtajemniczam go, rytuały niepojętego dla mnie świata prawdziwych mężczyzn. Czy był kiedyś nad polskim morzem, w Międzyzdrojach, jak ja w tym roku, pytam, i widział np. rytuał inicjacyjny ratowników? Bo ja widziałam. Widziałam, jak starsi koledzy podtapiali kandydata w wodzie, a potem, na piasku, tego walili go wiosłem po pupie. Chciałam wezwać policję, lecz się powstrzymałam, widząc, że wszyscy inni przechodnie doskonale się bawią. „Tak to jest w tym męskim świecie – mówię. – Wojtku, postaw im stary flachę”. Na to on: „A wie Pani co, ja to bym chyba albo księdzem został, albo do wojska poszedł, ja to bym chciał do Iraku”. Odskokczyłam jak oparzona: „A to dlaczego, na Boga?”. „Ach – tłumaczy chłopak – to adrenalina”. Przypomni mi się inny znajomy z Polski, który na wieść o interwencji rosyjskiej w Gruzji natychmiast zawiadomił mnie mailowo o swej gotowości bojowej, nie omieszkał opiekując się stanowisko Niemców. Bo dla niektórych mężczyzn każda okazja jest dobra, żeby wyrwać się z nudy i frustracji swego życia, nie tylko wrześnieowej. Istnieje dla nich tylko jedna alternatywa: depresja albo agresja. Rwą się do wojny, żeby nie popełnić samobójstwa. Ludzie, *wake me up*, gdy świat się, kurwa, zmieni.

Jajcarski poeta

Nielatwo odnaleźć się na wieczorku literackim z pewnego pokroju pisarzami, takimi, którzy pragną być poetami przeklętymi, outsiderami, przedstawicielami ciężkiej bohemy, chłopcami z piekła rodem i jajcarzami jednocześnie. Pisarze tacy na spotkaniach wytwarzają specyficzny klimat. Ich twórczość jest zazwyczaj zabawna, a zapytani, czy zawsze musi być tak śmiesznie, krygują się skromnie, że ot, samo im wyszło, bo życie takie fikuśne jest, wystar-

Brygida Helbig

czy tylko spojrzeć. Z lubością kokietują publiczność niewybrednymi żartami, przez które co jakiś czas przewija się słynny przerywnik. Pikantności przydają ich wypowiedziom peany na cześć niektórych elementów kobiecej fizjologii. Podczas dyskusji pisarze wzajemnie zadają sobie pytanie, dlaczego-góż te elementy są właściwie takie ważne, droczą się i przekomarzają, zapytując, czyje życie bardziej jest od tych spraw zależne, czyje mniej. Na pytanie prowadzącego, dlaczego nie piszą powieści, tylko opowiadania, panowie dowiecipnie wyjaśniają, że po prostu komputer im się zepsuł i nie da rady pisać na nim literki „I”, więc jak w takich warunkach stworzyć powieść. Żaden autentyczny kontakt z publicznością z tego rzecz jasna nie wynika, najwyżej zażenowany śmiech, który szybko wysycha na ustach. Ponieważ ci pisarze kontaktem nie są zainteresowani. Zainteresowani są podtrzymywaniem maski na twarzy. Niczego się od nich o nich nie dowiemy, nie podzielą się z nami sobą, nie odsłonią się za skarby świata, gdyż śmiertelnie się tego boją. Bez grymasu wulgarnego jajcarza poczuliby się nadzy i bezbronni. Po wieczorku pisarze tego typu iskrzą się humorem w knajpie, wokół nich tworzą się grupki wielbiciel, traktowanych dyskursem coraz to bardziej rynsztokowym, tak dla jaj. One, choć studentki gender studies i docentki prywatne, niestrudzenie pisarzy podziwiają, bo są bardzo dobrze wychowane. Wstrząsa nimi histeryczny, coraz bardziej paniczny śmiech.

Fajna dziewczyna

Rozmowy kwalifikacyjne zupełnie inaczej wyglądają w Niemczech niż w Polsce. Niedawno wysłałam papiery na jakiś polski uniwersytet. Kilka dni później zadzwonił telefon: „Wie pani co, jest w porzo, zatrudnimy panią, nie ma żadnego problemu”. „A w jakim, proszę pana, charakterze?”. „A profesora, zdaje mi się”, oni na to. Przyjeżdżam na rozmowę, na powitanie pan dziekan utyskuje, żeby stworzyć luzacką atmosferę: „Cholera jasna, szlag by to trafił, taka to u nas biurokracja, pani wie? Wszystko mi tu hamują, wszędzie jakieś kłody pod nogi, proszę sobie spokojnie zapalić, zaraz nas obsłuży pani Marta”. Wchodzi sekretarka w fajnej spódnicy: „Panie dziekanie, kawy czy herbatki?”. „Z pani rąk to nawet arsenik, pani Marto”, dziekan na to, i filuternie do mnie się uśmiecha. Potem przedstawiają mnie różnym doktorom, profesorom, mówi się do mnie z jednej strony na wyrost „pani profesor”, z drugiej „fajna dziewczyna”. Całuje się po rękach, przygarnia i przy-

tula, klepie już niemal po pupie.

Natomiast w Niemczech wszyscy bardzo mocno trzymają się zdystansowanej, poprawnej formy. Konkursy o profesurę trwają około półtora roku, przez ten czas nikt ci słowem o niczym nie piśnie, no chyba, że w pełnej konspiracji. Na rozmowach trzeba bardzo na siebie uważać, najważniejszy jest koturnowy dyskurs, fasada, pewność siebie, dobre pochodzenie. Nie bez znaczenia jest nawet adres. Jeśli nie mieszkasz na „Auf der Aue”, „am Pfaffenteich“ albo „am Amselsteig”, czyli na terenach zielonych, prawie nie masz szans, mimo że zarobki profesorów w Niemczech sukcesywnie się obniżają i profesor nie jest już tym, kim był kiedyś.

W Polsce liczy się dowcip, specyficzne poczucie humoru, które rzecz jasna niekoniecznie musi się podobać, zwłaszcza gdy jest się kobietą. Z jednej strony lubimy dżentelmenów i smuci nas, że w Niemczech nikt nam hołdów nie składa, z drugiej nie czujemy się brane na poważnie, gdy rozmówca polski koncentruje się na naszych walorach estetycznych. „No no, zaoponowała niedawno koleżanka, zobaczysz, niedługo się zestarzejesz i jeszcze ci będzie tego brakowało”. I tym optymistycznym akcentem zamknęła mi na dzisiaj moje feministyczne usta.

Uniwersytet polski

I już nie niemiecki Jobcenter, proszę Państwa, tylko uniwersytet polski finansuje docent prywatną! Niemcy powinni być nam wdzięczni.

A potem jeszcze wybiorę się do Pragi.

Brygida Helbig